

Adaptacja w żłobku – tydzień pierwszy



Decyzja o wysłaniu dziecka do żłobka nigdy nie jest łatwa. To znaczy owszem, jest, ale tylko w momencie zapisania lub zarejestrowania tam tego mikruska – noworodka, o którym tak naprawdę jeszcze nic nie wiemy. Im jest starszy, im więcej się o nim dowiadujemy, tym ciężiej nam się pogodzić z myślą, że już niedługo nasze życie będzie musiało wrócić na dawne tory, ale z uwzględnieniem tego małego człowieczka, który przecież w 100% ufa tylko nam.

Ja tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy jak ciężki będzie to dla mnie okres, zanim nie rozpoczęłam z Ignasiem okresu adaptacji. Wiedziałam, że moje dziecko jest wrażliwe, że potrafi rozdzierająco płakać, ale nie spodziewałam się, że tak bardzo mnie to poruszy i zmęczy psychicznie. Autentycznie, przez cały pierwszy tydzień padałam z wyczerpania o godzinie

20:00 i spałam do rana, mimo że mój dzień nie był inny niż zwykle, mimo że nic takiego mnie teoretycznie nie zmęczyło.

Co więc takiego się wydarzyło?

Pierwszy dzień był łatwy. Siedziałam z moim synkiem na sali przez cały czas, patrzyłam jak ładnie bawi się z innymi dziećmi, miałam wręcz wrażenie, że kompletnie nie odnotowuje mojej obecności. Coraz ufniej podchodził do zabawek, patrzył się na dzieci, z łatwością odchodził ode mnie i zapominał się w zabawie. Pięknie zjadł obiad, po czym, pełna nadziei, wróciłam z nim do domu.

Drugiego dnia tak naprawdę nie planowałam, że wyjdę chociaż na chwilę, ale musiałam zejść porozmawiać z pielęgniarką, więc siłą rzeczy beztrąsko zostawiłam moje bawiące się dziecko pod opieką cioć i spokojnie poszłam. Jakież było moje zdziwienie, kiedy mój radosny do tej pory synek po powrocie powitał mnie rzewnymi łzami i histerią! Od tej pory zauważyłam jak stopniowo coraz częściej sprawdzał wzrokiem moją obecność i zaznaczał swoje terytorium przychodząc się przytulić i przynosząc mi przeróżne zabawki.

Dzień trzeci i czwarty niestety nie wyglądały inaczej. Tym razem celowo, po krótkiej chwili spędzonej razem, zostawiłam malucha na sali, czekając w szatni na rozwój wydarzeń. Obie te próby skończyły się porażką. Przerażone ciocie wołały mnie na pomoc, bo rozżalonego bąka nie dało się nijak uspokoić – ani noszeniem, ani przytulaniem na kolanku, ani zajmowaniem fajną zabawą. Miała być mama i już. Bez dyskusji. Za to w domu obserwowałam lawinowy wzrost okazywania uczuć. Moje dziecko, jak nigdy, zaczęło do mnie podchodzić tylko po to, żeby się przytulić, nadstawić się do buziaka, pokitosić się razem na kanapie. Trzy czwarte czasu, zamiast na zabawie, zaczął spędzać ze mną. A ja już zaczęłam tracić nadzieję na żłobek i wymyślać rozwiązania alternatywne.

Zdjęcie zamieszczone przez użytkownika Magdalena Rogala (@motheratorka.pl) 23 Wrz, 2015 o 1:56 PDT

Ostatniego dnia jechałam tam czysto zdroworozsądkowo, bo nie chciałam wytrącić malucha z rytmu. Ale jechałam tam jak na ścięcie. Byłam w szoku, kiedy żłobkowa ciocia już w progu szatni wzięła Ignasia na ręce, a mi kazała się ulotnić. Nie wierzyłam własnym oczom, ale postanowiłam jej zaufać. Zostawiłam moje ryczące dziecko w jej rękach, licząc na to, że stanie się cud. I cud się stał. Kiedy wróciłam z duszą na ramieniu, synek oczywiście powitał mnie rozżalonym płaczem,

ale od pań dowiedziałam się, że nie było tak źle! Że nawet bawił się i śmiał! Że był zupełnie inny! Nie mogłam dostać lepszej wiadomości tuż przed weekendem. Jest światełko w tunelu i szansa, że mój wrażliwiec jakoś ten okres przetrwa i polubi miejsce, gdzie miłe ciotki śpiewają, pokazują zabawki, przytulą jak jest źle, a na koniec oddadzą w czułe ramiona mamusi.

Przeczytaj też:



ty rok żłobka – fakty i mity



Adaptacja w żłobku – tydzień drugi